Rok II. Styczeń 1931 Zeszyt 1

# ZŁOTA NIĆ

Czasopismo młodzieży
I. Pryw. Seminarjum N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie

Nakładem „Gminy Szkolnej“ I Pryw. Sem. N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie
Odpowiedzialna Redaktorka: Grysiówna Marja, Tarnów, ul. Tertila 18

Rok II. Styczeń 1931 Nr. 1


# ZŁOTA NIĆ

Czasopismo młodzieży I. Prywatnego Seminarjum Nauczycielskiego Żeńskiego im. Bł. Kingi w Tarnowie

Treść: Słowo wstępne. — Od Redakcji. — Opłatek szkolny. — Zwyczaje ludu, związane z świętami Bożego Narodzenia. — Śnieg. — Co mówi „turoń“. — Wspomnienia poświąteczne. — U progu półrocza. — Kronika. — Listy starszych Koleżanek-Nauczycielek. — W sprawie „kwalifiki“

*DROGA MŁODZIEŻY!*

*Puszczając „w świat“ ten pierwszy zeszyt „Złotej Nici“, — dorzucam kilka słów, płynących z głębi duszy życzliwego wychowawcy.*

*Cieszę się, że poza obowiązkiem, określonym programem szkolnym, chcecie myśleć i mówić o Waszych ideałach i snuć złotą nić swych szlachetnych uczuć i górnych marzeń.*

*Przykładając rękę do Waszych poczynań, nie chcę „gasić ducha“, lecz go umocnić i wspólnie przeżyć uniesienia, tak bardzo potrzebne w naszem życiu ideowem.*

*Niech „Złota Nić“ coraz silniej łączy Wasze serca i umysły do wspólnej pracy, radosnej i twórczej.*

*Niech przewija się idealizmem we wszystkich Waszych poczynaniach!*

*Niech wiąże szczerą przyjaźnią i owocną współpracą obecne pokolenie szkolne z dawniejszemi i przyszłemi — — —*

*Bogu na chwalę, Ojczyźnie na pożytek!*

*Wasz Dyrektor*

## OD REDAKCJI

*Niesiemy Wam, Drogie Koleżanki, ten pierwszy numer drugiego rocznika naszego czasopisma, pod nowym tytułem i w nowej szacie.*

*Na tę korzystną i niezmiernie dla nas radosną zmianę, wpłynęło postanowienie naszych starszych Koleżanek-Nauczycielek, które w czasie ostatniej „Kolędy" uchwaliły współpracować z nami i wyraziły gorące życzenie, byśmy im posyłały naszą gazetkę.*

*W ten sposób z naszej „Młodej Myśli" powstała „Złota Nić", łącząca wszystkie wychowanki Seminarjum im. Bł. Kingi, wspólnem uczuciem do wspólnej pracy.*

*W tym numerze umieszczamy kilka listów starszych Koleżanek, pracujących w różnych zakątkach naszej kochanej Ojczyzny. Listy te, pisane do Ks. Dyrektora, stają się za Jego zgodą naszą wspólną własnością, a są dla nas nauką i otuchą.*

*I my chcemy iść śladami starszych!*

*Ze swej strony dajemy to, na co nas stać, a przedewszystkiem opisujemy nasze przeżycia w kochanej szkole, za którą i starsze tęsknią i do której z miłością się odnoszą.*

*Idziemy do Was z hasłem seminaryjnem: „Razem do pracy — w Imię Boże" i prosimy o życzliwe przyjęcie tego, co nam jest drogie.*

*Grysiówna Marja, kl. IV.*

# Opłatek szkolny

Cała przyroda, otulona w biel śnieżną, głosiła nam wielką nowinę: „Dziś opłatek szkolny".

Opowiadał nam ją srebrzysty śnieg, mrugając tysiącem oczu, ćwierkały ją szare wróble, kołysząc się na nagich konarach drzew.

I wnet spieszyły do szkoły gromadki granatowych „płaszczyków", z których wyzierały roześmiane szczęściem twarzyczki. Wkrótce nasza świetlica, która już tyle widziała uroczystości, tyle razy patrzyła na szczęśliwe chwile tutejszych uczennic, zapełniła się po brzegi.

W kątach jej zaczaiły się jakieś miłe i wielkie niespodzianki, a największą z nich zdawała się kryć nowa kurtyna za swoją kwiecistą szatą.

Popłynęła falą pieśń: „Do Dzieciątka Jezus" i trafiła do serc słuchaczy... Przy słowach pięknej pieśni: „Dziecię Jezus jest wśród nas", czuło się wyraźnie obecność Boskiego Dziecięcia wśród zgromadzonych. Nastrój poważny, uroczysty...

Ucichła pieśń; lecz wnet ozwała się skoczna kolęda, odrywając się od strun mandolin i gitar: „Przybieżeli do Betlejem pasterze".

Wreszcie wspólne łamanie opłatkiem.

„Opłatek" jest świętem rodzinnem; skądże wobec tego łamiemy się w szkole tym „świętym chlebem"?

Skąd? — wszak i szkoła jest jedną wielką rodziną. Czułam to wówczas na „opłatku", że i nasza szkoła, nasze Seminarjum jest jedną, kochającą się rodziną, której i ja jestem członkiem.

Serdeczne życzenia, składane wszystkim przez głowę tej rodziny, Czcigodnego Ks. Dyrektora, zespoliły nas jeszcze więcej. Czułam wyraźnie ciepło kochającego, ojcowskiego serca, a miłość ta promieniowała silnie na nas wszystkich i każde serduszko zabiło silniejszem tętnem.

Stanął mi w myśli opłatek w domu rodzinnym... Uczucia moje były i tam i tu — jednako silne...

A potem — wzajemne składanie serdecznych życzeń.

Znikły z serca uczennic wszelkie urazy, może czasem żal; zapomniało się o troskach codziennych szkolnego życia, istniała tylko radość i wesele tem większe, że było to wesele „rodziny".

Na „opłatku" poznałam, jakie śliczne i pełne powabu jest nasze życie szkolne; to czara, z której mamy szczęście pić! Niejedna z koleżanek westchnęła ze mną: „Obym jak najdłużej chodziła do tej drogiej szkoły"!...

Odsłoniła kurtyna swe niespodzianki: ot, takie fragmenty z życia szkolnego.

Ukazał się wszystkim „pajac-olbrzym", dorastający do 3 m wysokości i drugi „pajac-karzeł". — Zaczęli obaj narzekać na to życie szkolne, pełne przygód, czasem „bur i krzyków"... a narzekali, jak najęci.

Lekcja pedagogiki na scenie — to trudno opisać! Naśmiałyśmy się aż do łez!

Zachwycone byłyśmy przystojnym Ślązakiem z dwiema Ślą-

zaczkami, jak raźno przybijał podkówkami, tańcząc jakiś taniec śląski...

Przypomniała mi się wioska rodzinna na widok „turonia". Okazało się, że turoń, to bardzo mądry zwierz. (Nie wiem, dlaczego na określenie kogoś—czegoś, niezbyt mądrego, używają tego wyrażenia!) Rozumiał doskonale mowę ludzką; przy rzeczach dobrych, a odnoszących się do niego, kłapał szczękami z wielkiej radości. Gdy mu coś było nie na rękę, to rogi (baranie) były „w robocie".

Najwięcej wzruszyła mię smutna dola kursu III-go, którą starały się oddać słowami, ożywione „cudem" ozdoby z drzewka, jak pajace, lalka, motyl, jeżyk, a nawet płonąca świeczka. Kurs ten „upośledzony", a — nawiasem mówiąc — najlepszy w całem Seminarjum [1]).

Widziałam następnie „gwiazdę", która w fizyce stanowiłaby prawdziwe cudo! Ciało niebieskie obraca się przy pomocy ludzkich rąk — no — no! To był jednak tylko zwyczaj ludu; przywędrowali i do nas z tą gwiazdą, by im ofiarować parę groszy. Że to jednak wszędzie pieniędzy brak, wobec tego nie wiem, czy wartało im się trudzić.

Gdy na scenę wpadło kilka par „Mazurów", krokiem polskiego ulubionego tańca „mazura", wówczas — nawet „poważna publiczność" nie mogła usiedzieć na miejscu. Siedziała jednak, bo postanowiła to nagrodzić sobie po skończonych uroczystościach, przy dźwiękach fortepianu.

Trzej „kowale", którzy ukazali się następnie na scenie, dumni ze swych fartuchów, zachwalali publiczności swe życie. Nie zazdroszczę im jednak!...

A jak tańczyły oberka piękne „Kujawianki" — z „Kujawiakami" — ma się rozumieć! Trzeba było widzieć, a poznałoby się, że oberek jest naprawdę śliczny! Wogóle stare, polskie tańce, takie żywe! a nie jakieś tam „tango".

„Flisak" swym tęsknym śpiewem i westchnieniami za ukochaną Wisłą, przypomniał mi wakacje, spędzone nad jej brzegami... kiedy to było...!

Mały, smukły „góralczyk" opiewał swoje strony na znaną melodję góralską i zdawał się być zadowolony ze swego losu.

„Górnicy" z latarniami w rękach, zdawali się być w głębi

---

[1]) Znać, że Autorka jest z tego kursu... (dop. Redakcji).

ziemi, w swym świecie; i oni zadowoleni z twardego życia, bo pracę swoją ukochali.

Trudna praca i na roli. A jednak „Piast“ kocha ją całem sercem, kocha swoją ziemię, bo ona jest jego matką! Wyśpiewał to na scenie.

Żywy obraz z gwiazdą, Piastem i poszczególnemi, wyżej wspomnianemi osobami, zakończył uroczystość.

Czy już koniec? Nie! teraz ozwał się fortepian, wygrywając skocznego krakowiaka. Kilkanaście par ruszyło do tańca. „V kurs ma pierwszeństwo“, słychać głos komendy.

Biedactwa — ostatni raz na naszym opłatku — niechże tańczą!

*„Czarna“, III kurs.*

# Zwyczaje ludu związane z świętami Bożego Narodzenia

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, zwane u ludu świętami „Godnemi“.

W chacie Macieja Dziury było roboty huk, jak to zwykle przed świętami. Siedmnastoletnia córka Macieja, zwanego niewiadomo dlaczego „Rachmaciejem“, uwijała się raźno jak nigdy; nie dziw też, że zwykle skąpa w pochwałach — matka, pogłaskała ją czule po jasnej główce, mówiąc: „No, no Zośka — pomagaj matce“!

Wreszcie „rewolucja przedświąteczna“ skończyła się, a została milsza praca, zalatująca wonią bardzo miłą, wonią „placków“. Nadeszła wilja, z którą łączy się tyle zwyczajów i wróżb... Zośka wierzyła „święcie“ we wszystkie wróżby, postanowiła też pytać się ich o swoją przyszłość...

Wczesnym rankiem we wilję uprzątnęła prędko izbę i wyniosła śmieci — daleko w ogród, by zbadać, co pierwsze przyleci na nie, czy sroka — czy wrona.

Mówią wszyscy, że „gdy przyleci wrona, to mąż będzie kawalerem, zaś gdy sroka, to pannie dostanie się wdowiec“.

Zośka zerkała i zerkała w głąb ogrodu, co to będzie? Ale o zgrozo! Coś zabieliło się na śmieciach... to ta ciekawska sroka przyleciała! Wdowiec... co za straszne słowo! Żeby choć był młody!...

Wracając do mieszkania, wzdychała cicho w głębi serca, żeby choć żadna kobieta nie przyszła do nich w ten dzień wigilijny, bo ona napewno przyniosłaby do domu całoroczne nieszczęście. Okazało się później, że obawy Zośki były płonne, bo przyszli sami mężczyźni; wprawdzie było ich niedużo, ale zawsze to lepiej. — Rok nowy będzie napewno szczęśliwy! Tylko ten wdowiec...

Zbliżał się wieczór wigilijny. Stary Maciej przyniósł wiązkę siana, nakrył nią stół i przywiązał ją dwoma powrósłami, by się siano dobrze trzymało.

Pod stół włożył nowiuteńką miotłę, która służy do... ale to jest sekret gospodarski; nawet Zośka nie znała go.

Zośka przyniosła snopek słomy i zabrała się z wielką energją do robienia powrósełek, by później wiązać niemi drzewa owocowe.

Uprzątnęła się prędko i pomogła matce nakrywać stół. Pod misę z pierwszem daniem włożyła opłatek. Mówią tak u ludu: „Gdy opłatek się przyklei do misy, to będzie rok mokry, gdy się nie przyklei — rok suchy".

Badanie opłatka pozostawiła matce, sama zaś wzięła sześć cebul, przekroiła każdą na dwie połowy i posypała solą. Każda połowa cebuli oznacza miesiąc przyszłego, nowego roku. Na której cebuli zwilgotnieje sól — ten miesiąc będzie mokry..., w przeciwnym razie — miesiąc będzie suchy.

Kolacja wigilijna miała się ku końcowi. Zośka wybiegła przed jej końcem, stanęła na progu domu, zwróciła się twarzą w stronę szczerego pola i krzyknęła z całej mocy: huuu... „Z której strony wróci echo, z tej przyjdzie mąż". Zośka z zapartym oddechem czekała... aż wróciło od strony lasu, z zachodu.

Z zachodu... Któż to może być? Jużby się nawet domyśliła, ale ten przeklęty — wdowiec, stoi na przeszkodzie... Tamten — od strony lasu nie jest „wcale" wdowcem.

Pobiegła do izby, zabrała powrósełka i wybiegła do ogrodu. Zewsząd rozlegały się już wesołe okrzyki.

Zośka zaczęła przewiązywać drzewa powrósełkami, przyczem krzyczała ze wszystkich sił: „Będziesz rodziła? Nie ucinaj! Utnę! Zaczekaj jeszcze jeden rok!"

Śladem Zośki poszedł Jasiek Kasper, który w sąsiednim ogrodzie ryczał swym basowym głosem: „Utnę!"

Cała okolica rozbrzmiała temi gorącemi nawoływaniami, które

wzywały drzewa do poprawy, do obfitszego rodzenia owoców. Wezwania te nie pozostaną bez echa... „Bo moc „świętych“ powróseełek jest tak wielka, że nawet najospalsze drzewo ocknie się z lenistwa i będzie pracowało“.

Nareszcie Zośka jest już gotowa z drzewkami.

Myśl o wdowcu nurtuje jej w sercu bez przestanku... Udaje się do ostatniego środka, zaczyna liczyć kołki w świeżo ogrodzonym płocie: „Kawaler — wdowiec“ i t. d. Oczyma stara się przedrzeć do końca płotu... co to będzie, co wypadnie...

Wyrok zapadł! Wdowiec... (Wszystkiemu winna parzysta liczba kołków).

„Boże! ja się tu bawię głupstwami, choć to wcale nie głupstwo! — a o obowiązkach gosposi zapomniałam!“

Pobiegła raźno do izby, ukroiła parę kromek żytniego chleba, wzięła parę opłatków do ręki i z tem wszystkiem pospieszyła do stajni, by dać i bydlętom „kolędę“. Niech i one skosztują opłatka. A zresztą, to nic dziwnego! Tylko czekać godziny dwunastej w nocy, a zaraz się posłyszy, jak to pięknie umie bydło mówić... Jak się biedne cieszy, że człowiek podzielił się z niem opłatkiem!

W dzień Bożego Narodzenia nie zamiatała Zośka wcale izby, bo nie można naruszać powagi i wielkości tego święta.

Zupełnie inaczej postąpiła Zośka w dzień św. Szczepana. Jeszcze nie ustąpiły cienie nocy, dopiero zorza na dalekim wschodzie podniosła się lekko wgórę, a już izba Macieja była czysto zamieciona.

Z Zośki nie było w domu ani śladu. Z zebranemi śmieciami i z wielkim snopkiem słomy na plecach pospieszyła na pobliskie pole, gdzie miało być zasiane proso. Tam rozpaliła ognisko... Buchnęły wesoło wgórę płomienie, obejmując szybko owe „święte“ śmieci i słomę. A Zośka dziwowała się ich jasności i z pełną wiarą patrzyła w przyszłość... Była pewna, że teraz proso tu zasiane — doskonale obrodzi...

Tak wierzy widocznie lud, bo gdzie się wówczas obejrzeć, wszędzie widzieć można czerwone ogniska, rozpraszające ciemności nocy... A ogniska te płoną tak czysto, silnie, tak wysoko w górę — ku niebiosom...

Na sumie w św. Szczepana, w parafjalnym kościele Zośki święcono owies.

Cały chór zapełniony młodymi chłopcami, którzy w kieszeniach mieli dość duże zapasy owsa. A gdy ksiądz wikary chodził

za składką, to z chóru runął nań grad owsa, który zatrzymywał się na wszystkich fałdach i zmarszczkach ubrania kapłana. Zośka pomyślała sobie, że gdyby „Jegomość" wyszedł z kościoła na pole, to ptactwo zlatywałoby się doń, jak do św. Franciszka.

Złośliwi chłopcy nie darowali nikomu! Po nabożeństwie wszyscy zamienili się w kamienowanych Szczepanów, zaś chłopcy zajęli stanowisko kamienujących.

Dostało się i Zośce. Jakiś „kamienujący" rzucił na nią nie owsem — bo cóż to owies! — ale — bobem czy fasolą.

Biedną dziewczynę trafił ten „owies" w prawy policzek, skutkiem czego ten, obrażony — z gniewu — aż zaczerwienił się i różnił się znacznie od lewego.

Około Nowego Roku chodzili „kolędnicy", którzy są bardzo mile widziani w domu wieśniaków. Chodzą z szopką i z „turoniem". Zwykle śpiewają tylko pod domami, a niekiedy za pozwoleniem gospodarza domu, wchodzą do mieszkania, ukazują swoją szopkę, a „turoń" wówczas jest w swoim żywiole.

Przyszli i pod okna domu Dziury i zaśpiewali jakąś bardzo skoczną kolędę przy dźwiękach skrzypiec (napół rozbitych) i starych olbrzymich basów. Śpiew kolędników znalazł w domu Macieja ogólne uznanie i zaproszono ich do izby. Co ten „turoń" nie wyrabiał!... W swoją ogromną paszczę chciał porwać Zośkę; to znowu rogami bódł bez miłosierdzia wszystkich. Poturbował ich — bo poturbował, ale to przecież tylko raz na rok się dzieje, dlatego lud wygląda „turonia" z utęsknieniem, by rozweselił mu monotonne życie.

*Łącka Stefanja, III kurs.*

# *Śnieg*

*Biały śnieg na świecie leży*
*w koło hen...*
*Taki miękki, czysty, świeży*
*śnieżek ten!*
*On otula starą ziemię*
*w biały tren,*
*Gdy zapadła na ten długi,*
*długi sen.*

*„Kaz."*

# Co mówi „turoń“

*Pochwalony Jezus Chrystus!*

*Powiedzieli nam ludzie, że w tem mieście dobrzy ludzie,*
*Panowie bogaci, a panie życzliwe,*
*Więc my tu przyszli, abyście nas Boską Opatrznością*
*Opatrzyli i na drogę co dali.*

*Niedźwiednicy my z kraju dalekiego,*
*Z za morza szerokiego,*
*Gdzie psy ogonami szczekają,*
*Ludzie łokciami gadają.*

*Kiełbasami płoty grodzą,*
*A ogniem się chłodzą.*
*Każda ryba pięknie gada,*
*Deszcz z ziemi do nieba pada.*

*Misiu, misiu tańcuj-że,*
*Muzykanci, grajcież mu,*
*A ja każę misiowi*
*Po malutku skakać se.*

*Tańcuj misiu, bo ci gram,*
*Co zarobię, to ci dam,*
*Śpiewaj misiu! —*
*Mru — mru — mru...*

— — — — — — — — —

*Chodź turoniu do domu,*
*Nie zastępuj nikomu,*
*Boś ty się tu nie uchował,*
*Żebyś ludziom zastępował.*

*Śpiew:*

*Hola! hola! pasterze z pola!*

— — — — — — — — —

*Za kolędę dziękujemy,*
*Zdrowia, szczęścia winszujemy,*
*Żeby państwo sto lat żyli,*
*A po śmierci w niebie byli!*

*Wiwat! wiwat! już idziemy,*
*Za kolędę dziękujemy;*
*Przez narodzenie Chrystusa*
*Będzie w niebie pańska dusza*
*[królować!*

*Podsłuchała W. M., IV kurs*

# Wspomnienia poświąteczne

Święta są rzeczą bardzo przyjemną, — oby były jak najczęściej! Najpierw: 1) Jedzie się do domu, w pociągu ścisk, niema gdzie siedzieć i jedni drugim chodzą po nogach. 2) W domu patrzą na przyjeżdżającą córkę z rozrzewnieniem, że źle wygląda, bo tylko 3 kg przybyło jej przez dwa miesiące. Ha! trudno, przy nauce się nie tyje. W następstwie tego, wszyscy znoszą przysmaki, aby biedaczka przynajmniej przez święta przyszła do siebie. 3) Przyjemną rzeczą jest, że na świętach zrzucamy ze siebie „szkolną skórę“, (czytaj: mundurek) i t. d. i t. d.

Ale są i złe strony świąt! Człowiek wyjeżdża z domu, jak objuczony wielbłąd, mając jedną walizkę, pełną książek (wziętych niby do

nauki, a do których nawet nie zaglądnęło się, co gorsza, nawet nie wyjęło z walizki); drugą placków, jabłek, cukierków, aby dłużej zachować pamięć o domu; w trzeciej wreszcie nieco garderoby. O rozpaczy! Człowiek chociaż ma tylko dwie ręce, dźwiga te walizy, odpoczywając co krok, zasapany i spocony mimo mrozu, przywleka się „na stancję". I tu świeża rozkosz! Wypakowuj to, co ci hojna dłoń nałożyła w domu!

Ale to nic w porównaniu z dniem następnym. Na świętach leżałaś do godz. 9, a tu o 7 zrywaj się na nogi, żeby się nie spóźnić do szkoły. Przecierasz zaspane oczy, nie wiedząc gdzie jesteś, w domu czy w szkole. Wreszcie wzdychasz na widok smutnej rzeczywistości, opuszczasz nęcące cię łoże i idziesz do szkoły, licząc w duchu dni do nowego wolnego!

*„Leniuch"*

# U progu półrocza

Półrocze! – słychać radosne okrzyki.

Półrocze!... zabije szybciej, a trwożnie inne serduszko i żal sączy truciznę smutku i zwątpienia, a tęskny wzrok myśli kieruje się do pierwszych dni roku szkolnego: „Tyle wówczas miałam nadziei! – Nie miałam widocznie szczęścia, jak inne, być pytaną wtedy, gdy się przygotowałam" — mówi skrycie dla swego usprawiedliwienia.

Ale czy słuszne są te żale, skierowane tylko do kogoś, a nie do siebie?

Wszak, gdy duch energji i czynu wstąpi w ospałe serca, – wiele da się zrobić nawet w krótkim czasie!

Brak silnej woli i wytrwałości w nauce wyciśnie z oczu na „półrocze" niejedną gorzką łezkę, otartą skrycie przed temi, które nie mają powodu do smutnych refleksyj.

Nie wykorzystany, a strwoniony okres pół roku, pociąga za sobą wielką odpowiedzialność przed Bogiem i społeczeństwem, które nas woła i zaprząga do wspólnego „wyścigu pracy".

Dość zatem próżnowania i marnowania sił duchowych i fizycznych, — niech wydana ocena naszego półrocznego wysiłku wyrwie nas z odrętwienia i rzuci ku pracy wytężonej, aby w dwójnasób nagrodzić duchową stratę!

Niech nota ujemna, ale słuszna, nie połamie naszych skrzydeł i nie obniży lotu do celu, ale przeciwnie – popchnie do czynu i zdobywania coraz wyższej wiedzy i siły ducha!

Chciejmy tylko – a wszystko zrobimy!

*J. Z. — V. kurs*

# Kronika

Ledwie minęły grudniowe uroczystości sodalicyjne i wesołe wieczory Św. Mikołaja dla dzieci ze Szkoły Ćwiczeń... i dla seminarzystek, a już zaczęły się żywe przygotowania na „Choinkę" dla najmłodszych, która odbyła się dnia 19 grudnia 1930 r. — Uroczystość zaszczycił swoją obecnością P. Wizytator M. Sidor. Dzieci odegrały jasełka z tańcami krakowiaków i pląsami krasnoludków. Radości nie było miary.

Dnia 28 grudnia odbyła się kolęda dla nauczycielek, b. wychowanek Zakładu z roku 1929 i 1930. Udział miłych gości był bardzo liczny, nastrój bardzo dobry. Ten dzień dał początek „Złotej Nici", gdyż uczestniczki „kolędy" przyjęły z zapałem zamiar tego wydawnictwa i przyrzekły współpracę i poparcie.

Dnia 16 stycznia 1931 r. zwiedził nasz Zakład p. Wizytator Min. W. R. i O. P. Zygmunt Szulczyński w towarzystwie P. Wiz. K. O. S. K. Michała Sidora. Ocena naszej pracy, wyrażona w słowach: *„Zakład wie, do czego dąży"* — wlała w nasze serca dużo otuchy i podnieciła nasz zapał do pracy i wytrwania na obranej drodze.

Dnia 29 stycznia odbył się tradycyjny „opłatek" dla uczennic Seminarjum. (Obszerne sprawozdanie p. na str. 2).

Dnia 30 stycznia wysłuchaliśmy uroczystej Mszy św. na intencję P. Prezydenta Ignacego Mościckiego z okazji Jego imienin. Po nabożeństwie zebrałyśmy się w świetlicy naszego Zakładu, gdzie Ks. Dyrektor przemówił do nas przed wspaniałym portretem P. Prezydenta, przybranym zielenią. Z czcią i miłością dla Dostojnej Osoby P. Prezydenta, złożyliśmy u Jego stóp silne postanowienie sumiennej i ofiarnej pracy w przyszłem półroczu szkolnem.

# Listy starszych Koleżanek-Nauczycielek

*Wileńszczyzna — powiat dziśnieński.*

Rozmyślnie nie pisałyśmy wcześniej do Księdza Dyrektora, gdyż nie miałyśmy żadnych realnych wiadomości, a ludzie znowu rozmaicie nam opowiadali o tutejszych stosunkach. Miałyśmy szczery zamiar napisać do Księdza Dyrektora ze zjazdu w Głębokiem, lecz nasze mocne postanowienie zostało zdruzgotane listem, który ja otrzymałam z Tarnowa, a z którego dowiedziałyśmy się, że po Tarnowie krążą wprost fantastyczne wiadomości o nas. Podobno ludzie opowiadają, że nam tu jest strasznie źle, że okolica niebezpieczna, że chodzimy po domach i „wyciągamy" dzieci do szkoły, bo nie chcą przychodzić i t. d. i t. d. Otóż zaraz po otrzymaniu tego listu zeszłyśmy się z koleżankami, które dowiedziawszy się o tem, zapłonęły „szlachetnem" oburzeniem. Jednogłośnie zapadła uchwała, ażeby w tej chwili, nie czekając zjazdu w Głębokiem, napisać do Księdza Dyrektora i donieść o faktycznym stanie.

Otóż prawdę powiedziawszy, na początku było tu u nas rozmaicie... Teraz natomiast jest nam tutaj b a r d z o d o b r z e i wiemy, że mając posadę o 2 kl. od Tarnowa, nie miałybyśmy na niej lepiej.

Przedewszystkiem nie rozumiemy tego dziwnego uprzedzenia ludzi z naszych stron — do tutejszych okolic. — Uprzedzenie to pokutowało w nas, wyniesione z Tarnowa i trzeba było naprawdę niemało czasu, ażeby sprostować mylne pojęcia. Nie pojmujemy, dlaczego ludzie u nas uważają tutejsze okolice za Syberję, za gniazdo rozbójników i t. d.

Naprawdę, proszę nam wierzyć, że iskry prawdy w tem niema. Są wypadki — ale gdzież ich niema? — Co zaś do ludzi, to poprostu niema słów pochwały dla nich. Kto zna naszych zaciętych Mazurów, ten przyjechawszy tutaj, będzie mile zdziwiony grzecznością tutejszych ludzi i ich serdecznością.

Co zaś do związków białoruskich, które tak niepokoją tarnowskie umysły — to wprawdzie są tu takie, ale te jak najmniej mogą nam szkody wyrządzić.

Tutejsi Rusini są przedewszystkiem do ostatnich granic flegmatyczni i trzeba naprawdę niemało siły i sprytu, ażeby ich popchnąć do jakiegoś czynu. A kiedy już raz zdobędą się na jakiś marny wysiłek, to później znowu zapadają w swoją drzemkę — na długie, długie czasy.

W. miała wprawdzie u siebie taki związek, ale przywódców wyłapano w tych dniach, a ludzie są spokojni. Początkowo byli niezadowoleni, że polska nauczycielka przyjechała, ale, jako osoba energiczna, zabrała się do nich i obecnie są dla niej bardzo dobrzy, przynoszą jej „gościńce", (które odsyła) i mówią: „Niech będzie jaka bądź szkoła, żeby tylko dobrze uczono".

Ale i gdzie są te związki — niema się czego obawiać — bo cała działalność ogranicza się do czytania gazet związku i omawiania ich. Chłopi tutejsi są za głupi na takie sprawy.

Kościołów tu i cerkwi blisko niema i pojęcia religijne są naprawdę straszne. Dobrze, że ludzie przynajmniej wiedzą, że krzyż to „Boh". Ale to nic dziwnego, bo nigdzie po szkołach religji nie uczono.

Mimo jednak niskiego stanu religijnego u ludu, moralność tutaj po wsiach jest nadzwyczajna. Naprawdę życzyćby należało naszym wsiom, ażeby z tutejszych brały przykład.

Narazie na tem kończymy, gdyż „oburzenie" na naszych niedobrych tarnowiaków, nie pozwala nam dziś więcej pisać. Ale przyrzekamy, że ze zjazdu w Głębokiem napiszemy coś więcej o sobie.

Łączymy wyrazy najgłębszej czci, poważania i wdzięczności.

*Bronka*

*Polesie, powiat piński.*

Zapewne Księdzu Dyrektorowi wiadomo, że aż do Nowego Roku byłam bez posady, starałam się bowiem w powiecie iłżeckim, ale tam mi ciągle obiecywano, ale jakoś te obietnice nie spełniały się. To mnie zniechęciło do szukania tam posady, odebrałam więc papiery, pojechałam do Kuratorjum w Brześciu i tam złożyłam podanie, które zostało bardzo dobrze przyjęte, tak, że już z końcem grudnia otrzymałam nominację.

Jestem w powiecie pińskim. Bardzo daleko tu jest od Pińska, bo 50 km drogą, którą rzadko kiedy można jeździć, a zwyczajnie jedzie się naokoło, t. j. około 72 km. Wprawdzie wieś moja jest bardzo daleko, ale jest mi tu zupełnie dobrze. Tutaj nigdy szkoły nie było, więc ja musiałam wszystko urządzić i chodzić po wsi spisywać dzieci. Ale zrobiłam to wszystko dość prędko i już 10-go stycznia zaczęłam naukę. Pracy mam dużo, ale jestem z tego zadowolona, gdyż w przeciwnym razie zanudziłabym się, gdyż tu niema ani kościoła, ani dworu, wogóle ani jednej inteligentniejszej osoby, z którąby można porozmawiać. Jestem zupełnie samotna, ale jakoś dobrze się czuję i wcale nie odczuwam tej samotności, bo cały dzień mam zajęty. Budynek szkolny wynajęty, nowy i dość ładny, klasa niezbyt duża, ale wystarczająca, a obok klasy mam mały pokoik i kuchenkę. Obok szkoły płynie rzeka Styr, obecnie zamarznięta. Mam tylko pierwszy oddział 38 dzieci, uczę od 8 do 11 rano, potem dzieci idą do domu na obiad i znów od 1 do 3 popoł. nauka. Na razie dużo mam z dziećmi pracy, bo trudno się z nimi porozumieć, gdyż nie umieją mówić po polsku, tylko po białorusku, ale uzbroiłam się w wielką cierpliwość i jakoś mi idzie.

Ludzie tu są dobrzy i przychylnie dla mnie usposobieni. Znoszą mi jaja, mleko, ryby i inne rzeczy, tak, że mam co jeść, dopóki nie dostanę pensji. –

Lud tu ciemny, sami analfabeci, ale chętnie garną się do nauki. Wobec tego utworzyłam kursy dla dorosłych i już miałam kilka lekcyj. Odbywają się one trzy razy w tygodniu po dwie godziny: od 5 do 7 wieczór. Zapisało mi się 28 mężczyzn i 2 dziewczęta. Między nimi dużo jest mężczyzn starszych, żonatych, chodzi również sołtys. Z początku to mi trochę dziwno było, jak ja będę uczyła takich wielkich, ale zaraz się z tem oswoiłam i idzie mi nauka bardzo dobrze. Trochę mnie to wszystko męczy, bo nie poprzestają na przepisanych godzinach, tylko ciągle przychodzą, żeby ich uczyć, a ja im nie odmawiam, żeby ich nie zrażać. – Ale to nic, ja się cieszę, jak to będzie ładnie, gdy za jakiś czas wszystko tu będzie inaczej jak dawniej – wprawdzie to jeszcze nie tak prędko będzie, ale każda taka godzina przyniesie im przecież coś nowego. Narazie uczę ich tylko czytać, pisać i rachować; – chciałabym im też co czytać, ale nie mam nic odpowiedniego. Jest tu kilku chłopców, którzy służyli w wojsku i umieją trochę czytać; prosili mnie, żeby im pożyczyć jakie czytanki. Jak będzie wolne parę dni na małe wakacje, to pojadę do Pińska i kupię kilka książek dla nich.

Gdy jechałam na Polesie, straszyli mnie wszyscy, że mi tu będzie źle, a tymczasem ja jestem tak bardzo zadowolona, tak mi tu dobrze. Praca daje mi spokój myśli; samotność i cisza bardzo dobrze na mnie działają, czego nawet nie przypuszczałam. Nie tęsknię wcale do ludzi, lepiej mi samej. Tak mi się zdaje, że weszłam na jakąś zupełnie inną drogę życia, niż dawniej, czystą i cichą, a gdzieś daleko, poza mną zostali ludzie i świat ze swojemi brudami i podłościami. – I dlatego czuję radość życia. Może zdziwią Księdza Dyrektora moje słowa, bo przeważnie znali mię ludzie z innej strony, a ja przecież chciałabym tak dużo dobrego robić...

M.

*Białostockie — pow. szczuczyński.*

Chciałabym napisać coś o naszej szkole, a względnie szkołach, gdyż jest ich tu aż trzy. — Dzieci mamy 200 przeszło, a obowiązanych chodzić do szkoły jest dużo więcej. Ja prowadzę oddział drugi. W moim oddziale jest pięćdziesiątka równa, ale kilkoro dzieci będzie zdaje się cofniętych do pierwszego oddziału, bo nie umieją wcale czytać ani pisać i nawet nie mają kompletnie pojęcia o niektórych literach. Poprzedniczka moja przepuściła je do drugiego oddziału pod warunkiem, że się poduczą tego przez wakacje. Naturalnie, że im ani w głowie była nauka podczas wakacyj i teraz są jeszcze głupsze, jak były. Ja mam teraz tylko z tem kłopot, bo trzeba je cofnąć koniecznie, a tu ani powiedzieć sobie rodzice nie dadzą. Niech sobie zresztą kierownik robi z tem co chce, jabym je ostatecznie zostawiła, ale one nic nie będą korzystały, bo nie znając liter, są w klasie, jak na tureckiem kazaniu. Poza temi kilkoma to mam dzieci nawet dość rozwinięte i niektóre ślicznie mi piszą tak, że posądziłam je z początku, że im ktoś w domu zadanie napisał. Naturalnie nie powiedziałam im tego, żeby ich nie zrazić, tylko kazałam im pisać w szkole, no i przekonałam się, że to same pisały. W innych oddziałach mam śpiew, gimnastykę i przyrodę.

Zocha ma w swej klasie tylko 25-ro dzieci. Oprócz tego ma rysunki, roboty ręczne i historję. Będę prowadziła tu chór szkolny, ale najpierw muszę wybrać głosy, gdyż chóru tu tamtego roku nie było, nie miał bowiem kto prowadzić.

Mieszkanie mamy ładne, bo słoneczne, w pokoju są 2 okna — jedno na zachód, a drugię na południe; w kuchni okno też jest na zachód. Domek nasz jest nowy i stoi w ogródku. Urządziłyśmy sobie bardzo ładnie, mamy śliczne firanki, które same robiłyśmy, zapuszczoną podłogę a nawet i portjery. Słowem jest u nas tak miło, że jakby P. Bóg zakładał raj, toby go u nas napewno założył.

Proszę Księdza Dyrektora nie brać mi tego za złe, że tak o wszystkiem bajdurzę, ale chciałabym, żeby Ksiądz Dyrektor wszystko wiedział.

Zanadto się jednak rozpisałam. W tej chwili dostałam list od jednej dziewczynki z kolonji, a także dopisek od jej rodziców. Nie ona jedna wprawdzie pisze do mnie, ale od żadnej list mnie tak nie wzruszył jak od niej. Kochane dziewczynki pamiętają o mnie, a ja na każdy list odpisuję natychmiast, gdyż ani myślę zrywać tak miłej korespondencji. — Mam jeszcze prośbę ogromną do Księdza Dyrektora, a mianowicie, aby był tak łaskaw i odprawił Mszę św. żałobną za duszę ś. p. Janki. Ja się tu za nią pomodlę w rocznicę jej śmierci, ale to byłoby „ważniejsze", gdyby w ten dzień była też i Msza św. za jej duszę. Ja wiem, że Ksiądz Dyrektor spełni mą prośbę, a nawet jestem pewna, że i tak Ksiądz Dyrektor odprawiłby tę Mszę św.

Łączę ukłony i serdeczne pozdrowienia dla całego Grona Nauczycielskiego, a dla koleżanek, nawet tych, których nie znam, tj. z I kursu ucałowania i życzenia „Szczęść Boże" w pracy na cały rok.

# W sprawie t. zw. „kwalifiki"

## t. j. praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych

W odpowiedzi na pytania, z wielu stron zadawane, podajemy kilka uwag, wyjętych z instrukcji K. O. S. K. w sprawie egzaminu praktycznego na nauczycieli szkół powszechnych.

1. Cel egzaminu. Celem egzaminu jest stwierdzenie praktycznej przydatności młodego nauczyciela do pracy pedagogiczno-dydaktycznej w szkole oraz do działalności społecznej na terenie tej miejscowości, w której pracuje. Organizacja egzaminu jest tak pomyślana, aby młody nauczyciel ujawnił stopień nabytych sprawności i dyspozycyj psychicznych do swego zawodu i dalszego w nim doskonalenia.

2. Charakter egzaminu. Egzamin praktyczny winien być przeprowadzony zasadniczo według § 1 a regulaminu, t. zn. we własnej szkole zdającego, gdzie wyniki jego praktycznej działalności można zbadać dokładnie. Wyjątkowo można przeprowadzać egzamin według § 1 b, jeżeli przeprowadzenie go według § 1 a jest niemożliwe. Podczas tego egzaminu bada się nie to, ile nauczyciel wie (chociaż i to ujawnia się bardzo wyraźnie), ale to, co potrafił zdziałać, w jakim stopniu zastosował posiadaną wiedzę w pracy szkolnej i czy ją umiejętnie stosuje. Egzamin ten nie odbywa się więc sposobem tradycyjnym. Nie odbywa się wcale egzaminu z psychologji, pedagogiki, metodyki etc., jako oddzielnych przedmiotów w oderwaniu od życia szkolnego. Nie jest on więc podobny ani do egzaminu dojrzałości, ani do egzaminu kwalifikacyjnego w byłym zaborze austrjackim.

3. Przebieg egzaminu. W myśl § 10 regulaminu dla egzaminu praktycznego komplet egzaminujący wizytuje conajmniej 2 lekcje, prowadzone przez zdającego, (może jednak wizytować 3, jeśli prezes Komisji uzna to za potrzebne). Po skończonej wizytacji (tego samego dnia) odbywa się ustne kollokwjum ze zdającym. Podczas kollokwjum są omawiane lekcje wizytowane w ten sposób, że zdający uzasadnia swoje postępowanie podczas nauczania w momentach, wskazanych przez egzaminatorów, z punktu widzenia psychologji, pedagogiki, metodyki, higjeny etc.

Po omówieniu wizytowanych lekcyj, Komisja bada, w jakim stopniu zdający zna program szkoły powszechnej, czy go rozumie i umie praktycznie realizować. Nauczyciel jest obowiązany znać

ogólną konstrukcję programu. Komisja tedy daje zdającemu wybrany tekst programu, możliwie z tych przedmiotów i oddziałów, które w dotychczasowej pracy samodzielnej prowadził, do przeczytania, wyjaśnienia i omówienia realizacji danego zagadnienia w pracy szkolnej.

W dalszym ciągu kollokwjum następuje omówienie podanej przez zdającego lektury, a specjalnie tych dwu dzieł [1]), których pisemne opracowanie tenże dołączył do podania o dopuszczenie do egzaminu. Winny to być z reguły dzieła z nowszej literatury pedagogicznej. Opracowania te nie powinny być skrótami, a raczej pisemnemi sprawozdaniami, w których zdający omawia krótko kwestje, stanowiące jego zdaniem najistotniejsze, wartościowe myśli dzieła. Sprawozdania te winny być krótkie (2—3 stron arkusza); o ile zdający pisze nieczytelnie, winny być napisane na maszynie i w tej formie dołączone do podania. Znajomość dzieł, streszczonych przez zdającego, winna być gruntowna. Podczas omówienia lektury, Komisja bada, w jakim stopniu kandydat umie korzystać samodzielnie z lektury pedagogicznej.

Po omówieniu lektury następuje badanie, jak orjentuje się zdający w administracji szkolnej, prowadzeniu kancelarji szkoły, czy zna przepisy szkolne, sprawy oświaty pozaszkolnej oraz, o ile potrafi być doradcą ludności w sprawach szkolnych, jak budownictwo szkolne, organizacja szkół, samorząd szkolny.

*(Dziennik Urzędowy K. O. S. K. r. 1930, Nr. 10)*

---

[1]) Na ten rok zaleca się do przeczytania przedewszystkiem:
a) Jeleńskiej: Sztuka wychowania,
b) Nawroczyńskiego: Zasady nauczania.

## OD REDAKCJI

***Inne artykuły, zwłaszcza cenny list z Polesia — będą umieszczone w następnym numerze.***

Z Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie, ul. Wałowa 4. Telefon 311